



Joanna Bartoń

Katar duszy

Gauka

Katar duszy



Joanna Bartoń

Rocznik 1984. Dzieciństwo spędziła w Lubinie, a niemal całe dorosłe życie we Wrocławiu; tu studiowała filologię romańską (rzuciła) i psychologię (ukończyła). Zdążyła przetestować kilka ról zawodowych, ale od zawsze chciała pisać. Nakładem wydawnictwa JanKa ukazały się jej trzy powieści:

Do niewidzenia, do niejutra (2015),
Drzazgi (2018) i *Niskorosła* (2021).

Joanna Bartoń
Katar duszy

Lauka
2024

Copyright © Joanna Bartoń, 2024
Copyright © wydawnictwo JanKa, 2024

Wydanie I – cyfrowe
Pruszków 2024

ISBN 978-83-68015-01-0
[fragment]

Błogosław, duszo moja, Pana,
i całe moje wnętrze – święte imię Jego!
Błogosław, duszo moja, Pana,
i nie zapominaj o wszystkich Jego dobrodziejstwach!

Psalm 103

Wszystko da się przeżyć, jeśli się to opisze.

Karen Blixen

Podobno nadmierna inteligencja aktorom tylko przeszkadza. Może się komuś narażę, ale uważam, że z pisarzami jest tak samo.

Pilnuję się więc, żeby nie przesadzać: iloraz inteligencji 126 i ani punktu więcej. Owszem, błyskotliwa i lotna, ale do geniuszu daleko. Powinno wystarczyć. Jestem przecież tylko osobą piszącą, a nie fizykiem kwantowym czy biologiem molekularnym.

Wymyślam książki, które nie wymagają researchu innego niż grzebanie we własnej duszy. Żmudne kwerendy i drobiazgowo badania? To nie dla mnie i nie o mnie. Gdzieś po drodze umarłabym z nudów. Pewnie jeszcze przed połową.

Pora na mały sekret: właśnie piszę moją czwartą książkę, a to jest rodzaj rozbiegówki, swoisty dziennik, którego fragmenty wykorzystam (niejeden pisarz tak miał). A tak naprawdę to będzie piąta. Tej czwartej prawowitej nikt nie chce wydać. Bo nie. Bo tak. Bo coś tam.

W moim zamyśle miał to być romans dla nieco ambitniejszych czytelników, bijący rekordy sprzedaży. Łudziłam się, że mój talent – w który wtedy jeszcze wierzyłam, a z czego dziś mogę się już tylko śmiać – pozwoli mi tego nie spieprzyć. Nic z tego. Napisałam strasznego gnioła. Literacki zakalec. Niewypał.

Swoją drogą, niezła ironia losu. Planując napisać książkę przede wszystkim poczytną, napisałam książkę, której nie przeczytał nikt. No, prawie nikt. Przeczytali ją Z&Z, moi redaktorzy oraz mentorzy w jednej osobie (a raczej dwóch). I złapali się za głowy. Ze zgrozy i niedowierzania. Moje dzieło skrytykowali w słowach tak dosadnych, że o używanie ich – przynajmniej w kontekście literatury – nigdy bym tego nobliwego tandemu nie posądziła. Gdyby mi na koniec tej drapieżnej tyrady nie rzucili deski rantunku w postaci zdania „to nie jest książka na miarę twojego talentu”, chyba już nigdy nie odważyłabym się nic napisać.

Tymczasem piszę *Katar duszy* i póki co jestem pewna tylko jednego: to dobry tytuł. Szkoda, że nie wymyśliłam go sama. To sprawka Fernanda Pessoa i jego *Księgi niepokoju*.

Pamiętam, jak by to było dziś: upalne popołudnie, leżę na plaży w Łukęcinie i naostrzonym do granic możliwości ołówkiem podkreślam trafiające do mojego serca i umysłu zdania. I nagle to, nie tyle zdanie, ile zbitka słów: „katar duszy”. I moje wewnętrzne poruszenie, którego przez kilka dobrych chwil nie mogę uspokoić.

A potem szybko wrzucam „katar duszy” w wyszukiwarkę Google, modląc się po cichu, żeby nic nie znalazła. Żeby te dziewczę – poza prozą Pessoa – słowa mogły należeć tylko do mnie.

I tak się dzieje. No, prawie. Jest tylko zespół muzyczny Katar Duszy z Gorzowa Wielkopolskiego, „grający melodyjnego rocka w połączeniu z energetycznymi tekstami”. Na szczęście ich konto na YouTube jest nieaktywne i nie zawiera żadnych treści w postaci czy to nagrań, czy klipów, więc mogę się poczuć prawowitym dysponentem słów „katar duszy” w Polsce. Krótko mówiąc, kradnę je bez moralnych czy etycznych rozterek na tytuł mojej nowej książki.

Planuję w niej wymieszać ze sobą w magicznych proporcjach prawdę i fikcję, wiwisekcję i blef. Co wieczór zasypiam więc z bojowym nastawieniem, że będę pisać bezkompromisowo i nikogo nie oszczędzę. Nazajutrz budzę się sparaliżowana myślą, że mam rodzinę i przyjaciół, których nie chcę stracić. I tak od ponad miesiąca.

Falowanie nastroju w cyklu dobowym sprowadza się do tego, że budzę się z tasakiem na szyi, a zasypiam w lekkiej euforii. Poranki są zatem najgorsze. Zwłaszcza tych kilkanaście bezlitosnych sekund tuż po pierwszym otwarciu oczu. Moment, w którym z całą mocą dociera do mnie, że żyję. Po co i dlaczego?

Mam tak, odkąd skończyłam kilkanaście lat. Jako dziecko wsta-
wałam z werwą. Szkoda mi było dnia na zaleganie w łóżku. Ale to było dawno. A teraz?

Gdyby koło mojej poduszki znajdował się guzik, za pomocą którego mogłabym zmieść się z powierzchni ziemi, naciskałabym go najdalej kilka sekund po obudzeniu. Bez wahania. Codziennie.

Czy to oznacza, że chciałabym umrzeć?

Jedno wiem na pewno: o tym, że wolałabym nie być, niż być, pomyślałam po raz pierwszy podczas powrotu ze szkoły, kiedy miałam trzynaście lat. Nie pamiętam, czy do tej smutnej refleksji skłoniło mnie niepowodzenie w nauce czy towarzyskie. Pamiętam tylko silne pragnienie, by przestać istnieć.

Dwadzieścia lat później, już w B., próbowałam się powiesić. Kilkanaście razy. Nieudolnie i bez efektu. W końcu za karę, że nawet tego nie potrafię zrobić, jak należy, wylałam sobie na głowę kubek gorącej kawy. Bolało bardziej, niż zakładałam.

Nigdy nie zapomnę reakcji pilnującej mnie salowej. Jej twarz wyrażała jedno: politowanie.

Wiedziałam, że ona wie, że ja wiem: samobój w B. jest niemożliwy i pora przestać się wygłupiać.

Choć mogło się udać. Jeden jedyny raz. Ze względu na znikome efekty mojego dotychczasowego leczenia lekarze zdecydowali, że zostaną poddana kilku seriom elektrowstrząsów. Moją pierwszą reakcją była myśl: jestem jak Sylvia Plath. Żadnego strachu czy obaw. Tylko durna duma.

A potem, późnym wieczorem, wpadam na genialny pomysł. Tak genialny, że podekscytowana nie mogę usnąć do rana. Otóż w sieci doczytuję: osiem godzin przed elektrowstrząsami obowiązuje zasada *nil by mouth*. Nic doustnie. Dlaczego? Podczas zabiegu treść pokarmowa mogłaby spowodować tragiczne w skutkach zachłyśnięcie. Do tego właśnie postanowiłam dążyć. Diabelnie inteligentnym podstępem.

Zaplanowałam go w trzech prostych krokach. Pierwszy: między śniadaniem a obiadem powiem mojej asystentce, że jestem głodna (ta, niczego nie podejrzewając, przyniesie mi kanapkę z kurczakiem i majonezem, co robiła już nie raz). Krok drugi: gdy asystentka zniknie mi z oczu, rzeczoną kanapkę schowam pod materac. Krok trzeci: zjem ją nazajutrz na godzinę przed zaplanowanymi elektrowstrząsami. Pamiętam, że kiedy obmyślałam ten plan, przypomniało mi się przeczytane gdzieś zdanie: „Podobno nie ma zabójstw doskonałych, ale samobójstwa i owszem”. Później okaże się, że w moim akurat wypadku niekoniecznie.

No, ale skąd miałam wiedzieć, że dwie godziny przed elektrowstrząsami do pokoju wpadnie czarnoskóra salowa i zrobi mi w nim gruntowny kipsisz. Nie wyłączając łóżka. A w tym łóżku materaca. A pod nim wiadomo co.

Zrobiła się chryja na cały oddział. Elektrowstrząsy odwołano, bo bali się, że mogłam mieć więcej kanapek i zdążyłam coś

zjeść. Przez kolejne dwie doby byłam pilnowana non stop przez zmieniające się co kilka godzin salowe. A potem zaprowadzono mnie do gabinetu zabiegowego na elektrowstrząsy, z których nie pamiętam nic poza tym, że przed podali mi w masce tlen, a po wybudzeniu bolała mnie szczęką i chciało mi się płakać.

Jadę do Warszawy, pociągiem. W celach – jak lubię to określać – kulturalno-oświatowych. Koncert, teatr, wystawa. I w międzyczasie spotkanie z Z&Z, którzy chcą mi wyłożyć w szczegółach, dlaczego nie wydadzą mojej czwartej książki.

Szczerze mówiąc, nie wiem, czy chcę to wiedzieć. A może inaczej: ja już to wiem. Nie sądzę, że dowiem się od nich czegoś, do czego nie doszłam sama podczas tych kilku bezsennych nocy, kiedy to zyskałam pełną świadomość mojej pisarskiej porażki. No, ale spotkać się nie zawadzi. W końcu lubimy się i szanujemy. Oraz – przynajmniej taką mam nadzieję – nie grzebiemy wido-ków na współpracę w przyszłości.

Kto wie, może moja piąta książka będzie udana? Niedługo kończę czterdzieści lat. Czy to nie czas najwyższy na moje *opus magnum vitae*?

Czasami zaskakuje mnie własna buta. Jestem przedziwnym konglomeratem skromności i zuchwalstwa. Niby pokorna, ale jednocześnie harda. W tej materii wymykam się wszelkim uogólnieniom. Samej sobie zresztą też.

Rzut oka przez okno. Polska widziana z pociągu to dla mnie Polska od dupy strony. Zaśmiecone krzaczory, zdezelowane płoty, opuszczone fabryki, nadgryzione zębem czasu altanki działkowe. I tak w kółko. Na szczęście przed oczyma przelatują mi jeszcze niekończące się połacie lasów i pól. Gdybym miała powiedzieć, za co kocham ten kraj, to właśnie za nie. Jesliby

zniknęły, niechybnie wyemigrowałabym. Tam, gdzie znalazłabym ich namiastkę. Innej drogi dla siebie nie widzę.

Z nudów i dla rozrywki układam w swojej głowie odę do redaktora. W wersji pierwotnej leci jakoś tak: „O redaktorzy naszych książek! Dzielni i cierpliwi szerpowie, dźwigający nasz ciężki bagaż na szczyt. Gdy go zdobędziemy, głośno będzie tylko o nas. O was nikt nie powie ani słowa. Chwała wam, cisi bohaterowie naszych literackich sukcesów!”.

Na myśl, że mogłabym tą odezwą uraczyć wieczorem tandem redaktorski Z&Z, zaczynam się śmiać. Ciekawe, jaka byłaby ich pierwsza reakcja. Poczuliby się wyróżnieni i docenieni? O to mi z grubsza idzie. Dobrzy redaktorzy to aniołowie. Nie wiem, jak można nie chcieć i nie cenić ich przewodnictwa, a skądinąd wiem, że niektórzy pisarze tak mają. Cóż, to zdecydowanie nie mój przypadek.

Pociągowy spiker anonsuje stację Warszawa Centralna. Mam nocleg w Metropolu, więc wysiadam. Stolicu, przybyłam!

W hotelu napuszczam gorącą wodę do wanny. Rozmyślam o R., którego prawdopodobnie już nigdy nie zobaczę. Skąd to wiem? Bo stracił swoją ostatnią szansę pół roku temu. Wtedy, gdy odwołał spotkanie na godzinę przed.

Przestraszył się? Zmienił zdanie? Uznał, że to nie ma sensu? Nieważne, że mną się tak nie robi. I to nawet nie to, że się obraziłam, bo ja się nigdy nie obrażam. Po prostu straciłam do niego serce. Momentalnie i – tak mi się wydaje – bez odwrotu.

Okładka:
Anna Koźbiel

Zdjęcie autorki:
Marek Tutak

Redakcja i korekta:
Janina Koźbiel, Jan Koźbiel

Skład i łamanie:
MJK

ISBN 978-83-68015-01-0
[fragment]

Wydawnictwo JanKa
ul. Majowa 11/17
05-800 Pruszków
694 536 051
wydawnictwo@jankawydawnictwo.pl
www.jankawydawnictwo.pl

Od autorki

Gdybym mocno nie wierzyła w to, że „prawda ma strukturę fikcji” (kłania się i pozdrawia Jacques Lacan), nie napisałabym w życiu ani jednej książki. A zwłaszcza już debiutu oraz *Kataru duszy*. Obie to czysta wariacja na temat rzeczywistości czy – jak lubię czasami mówić – zbeletryzowana forma osobistych doświadczeń i przeżyć. Bez beletryzacji owocem mojego pisania byłby co najwyżej smętny pamiętniczek, nadający się jedynie do szuflady. Takiej ciemnej i głuchej. Biorąc prawdę na warsztat, robię z niej pełnoprawną fikcję. I nawet moi najbliżsi tracą rozeznanie, co w moim pisaniu jest rzeczywistością, a co zmyśleniem. O taką konfuzję mi z grubsza idzie. Niby tańczuję na golasa, a tak naprawdę to nie ja, tylko mój nieprzesadnie wierny sobowtór.



Czy dusza w ogóle istnieje? Zdaniem wielu – nie. A jeśli przyjąć, że tak, to czy może mieć katar?

Tytuł *Katar duszy* brzmi intrygująco, ryzykownie, trochę niedorzecznie, ale o tym właśnie jest ta powieść – o niedorzeczności ludzkich potyczek z losem. O duszy, która „się przeziębia”, która łapie wirusa smutku i zła. I trochę też o tym, jak pisanie, czytanie i wyobraźnia potrafią modelować życie.

Miłość i pożądanie, wiara i grzech, więzy rodzinne i przyjaźń to główni bohaterowie tej niedużej powieści o sprawach największych, najważniejszych.

Bartoń udowadnia, że między chaosem życia a przewidywalnym estetycznie porządkiem literatury jest miejsce na prawdę fikcji. Że jest tam tego miejsca całkiem sporo. Katar duszy – powieść odważna i ostentacyjnie idąca wbrew sezonowym modom – traktuje także o tym.

Piotr Kofta

ISBN 978-83-68015-01-0



9 788368 015010

Patroni medialni:

